

# SŁOŃCE I KONIE

LATO '95

Żółte lato  
pamięta wesołe rżenie,  
gorący grzbiet konia  
i przez miedzę mknienie.

Wspominam, jak  
obłoki sennie płyną,  
a zboże się kłania  
ku końskim pęcynom.



\* \* \*

– Patrycja już ci mówiła? – zapytał konspiracyjnie pan Dagmarski. Został nazwany tak przez nas, dziewczyny ze stajni, od imienia jego prywatnego wałacha, Dągmara. Znałyśmy go krótko, raptem od marca, kiedy to pojawił się wraz z córką i oboje wykupili karnety na jazdy w teren. Niedługo potem mieli już własnego konia.

– Nie, nie wiem, o co chodzi? – czułam, że ojciec Patrycji ma do mnie naprawdę ważną sprawę.

– No, o tym wyjeździe!

– Naprawdę, nic nie wspominała.

– Miała się zapytać, czy nie pojechałabyś z nią i z Dągmarem na wieś. Dla ciebie też tam będzie koń.

– Jasne, że pojedę! – odpowiedziałam bez wahania.

Zasypałam pana Dągmarskiego gradem niecierpliwych pytań i w miarę, jak coraz więcej się dowiadywałam, coraz mocniej szczypałam się (w myślach) w rękę: oby to nie był sen!

Wymienił jakąś pocieszoną nazwę wsi, nie miałam zielonego pojęcia, gdzie to jest. A może nawet to usłyszałam, ale nie dotarło, taka byłam podekscytowana. Zamieszkamy u dalekich krewnych Patrycji, całe dwa miesiące, mają „brązową kobyłę, która kopie i gryzie, i nazywa się Baśka” (... bardzo wymyślnie!...), będziemy miały zapewnione noclegi i obiady za groszową cenę (...tyle to mogłam sama wyłożyć, nie obciążając rodziców), a resztę opowie mi Patrycja.

Oszołomiona, wróciłam do domu. Szłam powoli, żeby ochłoniąć, bo moja radość nie miała granic. Rodzice też się ucieszyli. Skończyłam szkołę dwuletnią – no, jeszcze niezupełnie, za kilka dni dopiero egzaminy, lecz byłam raczej pewna dobrych wyników.

Był początek maja 1995.

\* \* \*

Zaczęłam się oswajać z myślą o rajskich wakacjach, dałam ogłoszenie do gazety, że kupię siodło, ponagliłam pana Gienka, który

szył dla mnie ogłowie<sup>1</sup> za półdarmo, przeczytałam od nowa wszystkie moje książki dotyczące hodowli koni i jazdy (będziemy z Patrycją zdane tylko na siebie), szukałam w duchu imienia dla kobyłki, takiego oficjalnego, i starałam się wymyślać sposoby „ujarzmienia” dzikuski. Patrycja pokazała mi stare zdjęcie, na którym widać przy ciężkawą, brudnokasztanowatą<sup>2</sup> klacz przy wozie, a na niej siedzi uszczęśliwiona dziewczynka – Patrycja.

Z siodłem nie wypaliło i zaczęłam się martwić. Pan Dagmarski, jako człowiek interesu, zadziałał błyskawicznie. W ciągu godziny oddzwonił. Zorganizował mi siodło od swojego znajomego. Patrycja bierze kulbakę<sup>3</sup> z naszej stajni.

Liczyłam dni do wyjazdu, nie mogłam sobie znaleźć miejsca, aż nagle nadszedł smutny dzień: 28 czerwca. To, co się tego dnia wydarzyło, wstrząsnęło mną i zupełnie wytrąciło z równowagi.

\* \* \*

Galera, nerwowa i wrażliwa klacz z naszej stajni, wyźrebiła się. Nie był to szczęśliwy poród. Trwał długo, ciąża była przenoszona i prawdopodobnie w wyniku tego nowo narodzona klaczka – kruszyna, którą nazwaliśmy Prima Vera – była bardzo słaba i nie potrafiła się podnieść o własnych siłach. Nadgarstki miała dziwnie przykurczone i była nienormalnie wychudzona. Galera szalała z rozpacz, bo wiedziała od początku, że z jej dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Weterynarza i inne osoby, które chciały pomóc, witała kopniakami i próbami gryzienia. Silne ręce przytrzymały biedną matkę, a weterynarz zalecił, żeby na razie źrebię karmić w nocy co dwie godziny, a w dzień co godzinę, mlekiem zdojonym od Galery. Jeśli młode nie wstanie do trzech dni, to trzeba będzie zastosować „radykalne środki” albo będzie po nim.

Zdojenie Galery nie było łatwe: potrzebne do tego były co naj-

---

<sup>1</sup>Ogłowie: uzda.

<sup>2</sup>Brudnokasztanowata maść konia: sierść ciemnobrązowa, grzywa i ogon jaśniejsze.

<sup>3</sup>Kulbaka: siodło wojskowe o wysokich łękach.

mniej dwie osoby, dutka<sup>4</sup>, silne ręce – gdyż strzyki ta klacz miała twarde – i mnóstwo odwagi.

Przez pierwszą dobę Prima Vera dostawała mleko dość często. Następnego dnia w południe pomagałam stajennemu, trzymając dudkę na wardze biednej, zdesperowanej Galery. Jej córeczka, słysząc brzęk garnka i butelki, zaczynała słabiutko rzeć i postękiwać, a nawet próbowała wstać. Śmiesznie kwiczała, ale serce kołatało jej jak szalone przy tym wysiłku. Łzy napływały mi do oczu, gdy patrzyłam w jej nieświadome, ufne oczka. Wypiła chciwie ćwierć litra mleka i opadła z sił. Zamknęliśmy za sobą drzwi boksu, a Galera najpierw doskoczyła do nich z wściekłym charkotem i zdzieliła je przednim kopytem, a potem, diametralnie zmieniając wyraz oczu, podeszła do źrebiczki i troskliwie sprawdziła, czy nie stała jej się jakaś krzywda. Prima Vera kwękała z zadowoleniem, gdy matka czule ją lizała i czochrała.

30 czerwca przyszedłam rano pomóc przy dojeniu. Weszliśmy do boksu z garnkiem i butelką. Prima Vera leżała na lewym boku, dyszała, oczka miała zamknięte... Galera lamentowała, okazując to wszelkimi sposobami... Uklękałam przy małej, zachęcając ją do podniesienia głowy, ale po minach stajennego i właściciela poznałam, iż nie mamy tu już nic do roboty.

– Zostaw ją Magda, ona jest już zimna... .

– Nie, ja ją rozmasuję słomą... .

Nacieralam jej chude boczki przez chwilę. Dotknięcie jej aksamitnych chrap, które były lodowato zimne, sprawiło, że przestałam. Niech umrze spokojnie. Zad i ogonek maleństwa drgał przez chwilę w jakichś nerwowych odruchach, aż wreszcie usłyszałam cichutkie westchnienie... . Gdy wyciągano ciało źrebica z boksu, Galera dostała ataku szału. Kiedy już opływała potem, pomału zaczęła się uspokajać.

Noc miałam z głowy.

---

<sup>4</sup>Dutka: narzędzie w postaci drewnianej rączki zakończonej pętłą ze sznurka lub rzemienia, używane do ściskania górnej wargi konia podczas zabiegów.

\* \* \*

Dobrze, że termin wyjazdu przesunęliśmy o jeden dzień, czyli na 1 lipca 1995.

\* \* \*

Odprowadzała mnie Mama, ponieważ sama nie zabrałabym się z moim bagażem: swoich rzeczy nie miałam wiele, lecz dużo miejsca zajęły mi akcesoria potrzebne do jazdy konnej i pielęgnacji konia.

To była pestka w porównaniu z tym, co wzięła Patrycja: zajęty był cały bagażnik i dwie trzecie tylnego siedzenia, pod sam dach! Pan Dagnarski bowiem wiozł przy okazji sporo podarunków dla swojej rodziny na wsi. Usiłował mi klarować to odległe powinowactwo. Powiązania były skomplikowane, nie warto było zaczynać tego wywodu. Zagmatwał się i nic nie zrozumiałam. Ostatecznie skapitulował: „Niech będzie, że to ciotka i wujek”. Jakoś upchałam swoje rzeczy, śpiwory włożyliśmy pod fotele i w ten sposób zostało mi dwadzieścia centymetrów wolnego miejsca, żeby się usadowić. Potem, w drodze, co chwilę coś osuwało się na mnie z luźnej góry tobołków, ale w końcu wymościłam sobie wygodne gniazdko.

Trzeba było jeszcze tylko załadować Dagnara do przyczepy. Okazało się, iż potulny zazwyczaj wałach potrafi popisać się temperamentem, jakiego nie powstydziliby się żaden przyzwoity ogier.

Czterech mężczyzn walczyło z nim przez blisko dwie godziny, wszyscy byli mokrzy i zdenerwowani. Dagnar stawał dęba, uciekał, przewracał się, kwiczał i był tak spocony, że zostawiał mokre ślady na ziemi.

Moja Mama po piętnastu minutach pożegnała się ze mną i wróciła do domu, bo nie mogła na to patrzeć. Była wrażliwa i nie przywykła do widoku takich scen. Patrycja płakała. Naraz wyrwała stajennemu uwiąz z ręki i uciekła z koniem za stajnię. Na to, żeby konia podejść sprytem, było już za późno. Przestraszony i zestresowany, w ogóle nie interesował się wiadrem owsa, który miał go zachęcić do wejścia do przyczepy. Pozostało wykorzystać jego instynkt stadny. Na kilkanaście koni mieszkających w tej stajni tylko Pionier, dzielny mały hucul przywieziony z Bieszczad, mógł nam

pomóc. Był nowy, ale niczemu się nie dziwił i niczego nie lękał. Wprowadziłam go do przyczepy, a potem liczyliśmy na to, że Dagmar do niego dołączy. Obawiałam się, że i to już nie poskutkuje. Niepotrzebnie. Pionier jakby wiedział, czego się od niego oczekuje. Odwrócił głowę (choć przed nim stało wiadro owsa i nęciło zapachem końskie nozdrza) i tak jakoś serdecznie, cichutko zarżał, patrząc życzliwie na Dagmara. Ten rozluźnił napięte mięśnie i zrobił mały krok do przodu. Patrycja delikatnie pociągnęła go za uwiąz i zobaczyliśmy, że koń już nie próbuje stawiać oporu. Krok po kroku zbliżał się do wejścia przyczepy. Hucuł wciąż nawoływał, a kiedy uznał, że teraz już sobie sami poradzimy, zabrał się za owies, na który – jego zdaniem – w pełni zasłużył. Gdy już Dagmar stał obok niego, uszczypnął go po przyjacielsku w szyję, a jak poczuł słony smak potu, zaczął go wylizywać. To chyba był najlepszy sposób, żeby uspokoić Dagmara. Patrycja najchętniej dałaby swojemu koniowi jeszcze trochę czasu na wyrównanie oddechu, ale w gruncie rzeczy w całym tym zamieszaniu my dwie najmniej miałyśmy do gadania. Po prostu zabrałam Pioniera z powrotem do stajni (słyszając za plecami mamrotanie stajennego: „By sie pokopały, to by tako mondro ni boła”) i nie odzywałam się, bo to i tak nie miało sensu.

Zajrzałam do przyczepy. Deresz<sup>5</sup> stał z wytrzeszczonymi oczami, ciężko dyszał, miał na całym ciele liczne skaleczenia i otarcia. Z pyska spadały płaty piany. Grzywa i ogon pozlepiane w mokre strąki. Oczy wyrażały strach, nogi drżały.

Pożegnałyśmy wszystkich niemrawo, przejęte jeszcze tą sytuacją.

Podróż odbyła się bez niespodzianek, tyle że Dagmar nie chciał jeść ani pić. Później uspokoił się trochę i ciekawie zaglądał przez okienko w trakcie jazdy.

Nie wiadomo kiedy znaleźliśmy się na miejscu, w Modrolasku. Pan Dagmarski zaparkował samochód na podwórzu i wszedł do willi przywitać się z gospodarzami. Rozejrzałam się. Po lewej stro-

---

<sup>5</sup>Dereszowata maść konia: ubarwienie sierści charakteryzuje się występowaniem domieszki białej sierści na tle maści podstawowej (kasztanowatej, gniadej lub karej).

nie podwórza stały zabudowania: dom, dalej stajnia podzielona na trzy części: dla świnki, krówki Mućki i Baški z córką Oliwią, szopa i – naprzeciw bramy wejściowej – stodoła. Na czas wakacji krowa stała ze swinią, a wolna część stajni była przeznaczona dla Dagmara. Wyprowadziłyśmy wyczerpanego konia z przyczepy i Patrycja go pooprowadzała, żeby się zapoznał z nowym otoczeniem. Potem wpuściła go do jego boksu. Było to duże pomieszczenie, koń mógł przedreptać kilka kroków w każdą stronę.

Teraz dopiero podeszłam do drzwi z drewnianych żerdzi, zza których dochodziło wesołe rżenie żrebaka. Otworzyłam i ujrzałam miedzianą, ciężkiej budowy klacz z blondrudą, gęstą grzywą, którą gniewnie potrząsała. Oczy ciskały piorunami, a wargi marszczyły się w grymasie złości. Klacz była bez kantara, zatem nie zaryzykowałam wejścia do boksu, obawiając się zadnich kopyt, rąbiących co jakiś czas w ścianę.

Jej córka Oliwia była uosobieniem łagodności. Trzymiesięczna źrebiczka, ciekawska, niestety nieoswojona, bała się podejść bliżej. Jednakowoż była przyjaźnie nastawiona, w przeciwieństwie do matki, i odnosiłam wrażenie, iż puszczała do mnie perskie oko, przekonując w ten sposób, że „mama tak zawsze”.

Minęło już trochę czasu od naszego przyjazdu, upał był nieprawdopodobny, wobec tego postanowiłyśmy napić Dagmara. Niestety, odmówił – może nowe wiadro mu nie odpowiadało, a może jeszcze nie przyszedł do siebie po podróży. Zauważyłam, że Baška nerwowo oblizuje wargi, wobec tego postawiłam przed nią wiadro. Rzuciła się na wodę, jakby od trzech dni nie piła. To wrażenie nie odbiegało daleko od prawdy. „Wredna kobyła” nie cieszyła się zbyt wylewną sympatią gospodarzy, bo była „nie dobra” i nie chciała wychodzić ze stajni do pracy. Podobno jedynym sposobem na to, żeby ją skłonić do wyjścia, było skuszenie jej na wodę. Brzmiało to tajemniczo, ale to był mój pierwszy dzień pobytu tutaj, dlatego nie wypytywałam o tę sprawę. Któregoś dnia usłyszałam od gospodyni historię, która wyjaśniała, dlaczego Basza i jej właściciele nie pałają do siebie wzajemną sympatią.

Baška wypila trzy wiadra wody i czekała na jeszcze.

Pani Ala, ciocia Patrycji, zawołała nas na obiad. Mieszkała tu

jeszcze Babcia, do której zwracano się per „wy”. Przy stole rozmawialiśmy żywiolowo o różnych sprawach. Ustaliliśmy, że jutro zaczniemy budować wybieg dla koni, rano jednak pan Dagmarski będzie jeździł na Dagmarze, gdyż pojutrze wyjeżdża i chce sobie „użyć”. Zresztą daleko nie jedzie, bo wraz z resztą rodziny mają rozłożony namiot we wsi Kosówek, czyli około trzydzieści kilometrów od nas. A dzisiaj jeszcze pojedziemy z wujkiem Patrycji, panem Pawłem, po zielonkę to „będę mogła zobaczyć Baškę w akcji”. Zdecydowałam się jej dotrzeć, gdy będzie zaprzęgnięta.

Baška, wbrew nawykowi, sama wyskoczyła ze stajni, gdy tylko otworzyły się drzwi, i dorwała się do koryta z tłuczonymi ziemniakami dla kur. Patrzyłam zdziwiona, jak gospodarze stoją bezradnie, bojąc się podejść do klaczy. Złapałam ją bezceremonialnie za długą, gęstą grzywę, z trudem podniosłam zanurzony w korycie łeb, założyłam uździenicę i doprowadziłam do dyszla. Wszystko to przy pokrzykiwaniach Babci:

– O, Boże, nie podchłódź, dziewczyno, nie podchłódź!

Ubieranie Baški w szory, przeplatane bojaźliwym i nerwowym mručeniami gospodarza uświadomiło mi, na czym polegała „wredność” klaczy. To był po prostu jej ogromny spryt: wykorzystywała niefachowość swoich właścicieli w obchodzeniu się z koniem. Żerowała na tym bezwstydnie.

Wóz ciągnęła tak, jakby zaraz miała zasnąć, wlokła się z nogi na nogę, w ogóle nie zważając na monotony głos wozaka, który miał sugerować przyspieszenie chodu.

– Daaaali, Baaaška, daaali, cieś, cieś, cieś, dali, no, Baaaška, daaali, no, no, Baaaška, cieś, cieś, daaali, cieś, daaali, daaali, Baaaška... Baaaška, daaali, cieś, cieś, daaali, Baaaška... .

Zachowanie kobyłki wskazywało na to, że robi nam wielką łaskę. Czasem tylko potrząsała gniewnie blondrudą grzywą, jakby jej natrętna mucha brzęczała koło głowy.

Pan Paweł załadował skoszoną zielonkę na furmankę, po czym oznajmiłam, że chcę wsiąść na Baškę. Zgodził się ochoczo, chciał mi pomóc, ale odskoczył, gdy ta przypiętowała dyszel zadnią nogą. Nie przejęłam się tym: wsiadłam. Jechaliśmy anemicznym stępem. Lekko ścisnęłam boki klaczy, cmokając zachęcająco. Po-



derwała głowę i ruszyła nerwowo drobnym kłusem. Tryumfalnie wjechaliśmy na podwórze, a zza wszystkich firanek obserwowały nas oczy sąsiadów.

Przy pomocy pana Dagmarskiego i Patrycji założyłam kobyłce siodło, nie zapinając popręgu. Zresztą trudno było go w ogóle przełożyć pod jej brzuchem, bo kopała jak wściekła. Patrycja podsadziła mnie i ostrożnie usiadłam na siodło. Podciągnięcie popręgu „z góry” nie byłoby problemem, ale ponieważ Baśka nie umiała spokojnie ustać w miejscu, kotłowaliśmy się po obejściu dobrych kilka minut.

Wyjechałam w pole i po pół godzinie stępa (Baśka co chwila przystawała – nie dość, że pierwszy raz miała cokolwiek na grzbiecie, to jeszcze Oliwia została sama w stajni) okazało się, że zgubiłam koc. Nie bez oporów ze strony klaczy zawróciłam. Kiedy zesłam i z trudem osiodlałam Baškę ponownie, tym razem już mocniej dopinając popręg, nie potrafiłam sama sobie poradzić ze wsiadaniem. Klacz wierciła się i opędziała ode mnie zadnimi kopytami oraz zębami. Postanowiłam wrócić, prowadząc ją w rękę. Już widocznie miała za dużo wrażeń, jak na pierwszy dzień. Kilka razy próbowała mnie ugryźć znienacka, ale byłam na to przygotowana i trzymałam ją krótko. Staralam się zachowywać obojętnie, mimo że idąca obok mnie złoźnica usiłowała mnie wyprowadzić z równowagi na wszelkie możliwe sposoby. Weszłam na podwórze, rozsiadlałam ją, pochwaliłam i wpuściłam do stajni. Trzeba zaznaczyć, że klacz była okropnie brudna, a grzywę i ogon miała bardzo splątana. Po pierwszej próbie czyszczenia doszłam do wniosku, że należy tym zabiegom poświęcić więcej uwagi: w sześcioletnim życiu kobyłki chyba nikt nigdy nie dotykał jej szczotką.

\* \* \*

Na wsi nic się nie ukryje, wobec czego i nasz przyjazd nie był tajemnicą, tym bardziej, że w przyczepie przywieźliśmy konia. Zaczęły się pielgrzymki sąsiadów, a każdy z nich zaglądał Dagmarowi w zęby<sup>6</sup>, obmacywał go i krytykował jego „chudość”. No cóż, to nie

---

<sup>6</sup>Wiek konia określa się na podstawie wyglądu jego zębów siecznych.

był koń pociągowy, tylko wierzchowy, lecz te tłumaczenia nikogo nie przekonywały. Dagmar miał już opatrzone skaleczenia wynikłe z załadunku do przyczepy, ale i tak wyglądał jak siedem nieszczęść. Patrycja złościła się o każdą krytyczną uwagę dotyczącą jej konia. Podejmowanie dyskusji było bezskuteczne.

Miejscowi gospodarze wyrażali jednak nam swoje uznanie, że nie boimy się koni, i od razu chcieli, żeby któraś z nas wsiadła i „poszła w galop”. Pan Dagmarski może dałby się podpuścić, gdybyśmy mu nie przypomniwały, że koń jest wyczerpany podróżą i że w ogóle nie była planowana dzisiaj jazda na nim.

Późnym wieczorem pan Paweł pokazał nam, skąd brać słomę, siano i obrok, potem zjadłyśmy kolację i mogłyśmy się wreszcie za-domować w naszym pokoju na poddaszu. Musiałyśmy jeszcze wypchać jeden siennik i, skonane, zasnęłyśmy.

Wstałyśmy o szóstej rano, oporządziłyśmy konie i po śniadaniu pan Dagmarski zaproponował mi przejażdżkę. Podsunęłam myśl, że może on pojedzie na Baśce, a Patrycja na Dagmarze, ale nie wiadomo czemu, wolał Dagmara (. . . „bo pewniejszy” . . . ), zaś Patrycja otwarcie przyznała, że boi się kobyły i że mamy się nie przejmować, ona zostanie w domu. Jeszcze się najeździ przez te dwa miesiące.

Wyruszyliśmy o dziewiątej, ojciec Patrycji miał mi pokazać jakieś ciekawe tereny.

Kobyłka opóźniała nasz marsz, ponieważ przystawała co chwilę. Za którymś razem zauważyłam, że teraz już nie robi tego w wyniku nowej, nieznannej sytuacji. Po prostu bawi się ze mną! Byłam pełna podziwu dla jej bystrości. Z ciężkim sercem użyłam palcata<sup>7</sup> przy kolejnym przystanku, co natychmiast poskutkowało: więcej nie zrobiła tego numeru. Zupełnie nieźle zaczęła reagować na moje sygnały i w niedługim czasie potrafiła zakłusować bez cichutkiego „wio!” i cmokania.

Aha! Już wtedy zmieniłam imię Baški na Basza. Reagowała na to o wiele spokojniej, bo, jak się okazało, drażniła ją głoska „ś”, która była też w zawołaniu „cieś, cieś” (tak się w tych stronach woła konia, żeby zwrócić jego uwagę lub żeby podszedł).

---

<sup>7</sup>Palcat: krótki bacik.

Po półtorej godziny przyjemnej jazdy postanowiliśmy wracać. Tereny były wspaniałe: miedze, łąki, lasy. Wszystkie drogi piaszczyste, w związku z czym koniom dobrze się szło. Mimo to czułam pewną sztywność Baszy: nie miała wystruganych<sup>8</sup> kopyt.

Było gorąco i sucho, ale znalazło się miejsce na drodze, gdzie kiedyś była głęboka kałuża. Po prostu ciemne, wilgotne wgłębienie. Dla Dagmara nie stanowiło to problemu, Basza zaś niespodziewanym, gwałtownym ruchem odbiła w bok. Niestety, prawie na wysokości mojej głowy był wystający konar, o który uderzyłam się tak boleśnie (dobrze, że miałam toczek<sup>9</sup>), że pociemniało mi w oczach i spadłam. Nie wiedzieć czemu, w ostatniej chwili naszła mnie refleksja: „to chyba brzoza” i „żeby tylko nie wierzgnęła” – leciałam bowiem przez zad. Basza nie pobiegła za oddalającym się Dagmarem, tylko stała z poniesioną głową i czekała na rozwój wypadków. Pan Dagmarski zawrócił przejeżdżając, a ja leżałam, bojąc się ruszyć, bo ciągle grzmiało mi w głowie. Po chwili poczułam mokrą chustkę na czole i trochę przyszedłam do siebie. Jeszcze kilka razy zmieniałam kompres (w pobliżu był rów melioracyjny), aż poczułam się na siłach, żeby wstać. Wkrótce znowu wsiadłam i jechaliśmy dalej. Chociaż bolała mnie głowa i było mi niedobrze, bagatelizowałam sprawę, nie dopuszczając myśli, że od razu na początku wakacji spotkał mnie taki pech. Odezwała się też ambicja, byłam zażenowana i usiłowałam żartować z tej przygody. Pan Dagmarski wykazał się ogromnym taktem, kwitując wszystko: „Zdarza się najlepszym”. I dodał jeszcze, że gdyby tylko coś się działo, to mam mu niezwłocznie dać znać, bo wyglądam blade.

Jechaliśmy drogą przez wieś; sąsiedzi już oficjalnie nas pozdrawiali. To było niezwykle miłe.

Po obiedzie ojciec Patrycji pojechał do Kosówka, a my nareszcie mogłyśmy urządzać nasze lokum na poddaszu. Pomieszczenie było świeżo wyremontowane i znajdowały się tu dwie szafki, szafa, stolik, fotel i dwa miejsca do spania: wielkie łóżko i gruby sennik, który leżał bezpośrednio na ziemi. Na nim chciała spać Pa-

---

<sup>8</sup>Struganie kopyt: rodzaj pielęgnacji polegający na usunięciu nadmiernie wyrośniętego rogu kopytowego. Zabieg powinno się wykonywać co 6–8 tygodni.

<sup>9</sup>Toczek: kask do jazdy konnej, pokryty zamszem.

trycja. Jednej nocy żałowała tego. Mianowicie pod koniec żniw, kiedy to myszy uciekają z pól w bezpieczne miejsca, jedna mała myszka zapagnęła zamieszkać z nami. Najbardziej podobało jej się w sienniku i podczas gdy ja byłam pogrążona we śnie, biedna Patrycja przesiedziała pół nocy na szafce. Mysz wlaźła do siennika i szeleściła, moszcząc sobie gniazdko. Podobno potem biegała po pokoju, a moja zrozpaczona, zmęczona przyjaciółka usiłowała ją wypłoszyć... światłem latarki, gdyż nie chciała mnie obudzić.

Znalazłyśmy w lesie dość grubą belkę oraz długi sękaty konar bez kory. Pomalowałyśmy to bejcą na kolor dębu i zataszczyłyśmy do pokoju. Sękaty konar ustawiony pionowo był wieszakiem na toczki, ogłowia, kantary, uwięzy i tym podobne, a belka, oparta końcami o dwie niskie szafki, stanowiła namiastkę siodlarni. Pod sufitem umocowałyśmy jeszcze jedną, cieńszą belkę i przywiązałyśmy do niej wiązki różnych suszonych ziół, kwiatków i zbóż. Był tam także drewniany koszyczek, z którego zwisały długie suszone trawy. Wszystko to zajmowało jeden kąt przestronnego pokoju. Później zawiesiłyśmy tam też zrobiony przez nas obrazek na drewnie z motywami końskimi. Obrazek wisiał na plecionce z końskiego włosia. Jak doświadczona dekoratorki wewnątrz, z różnych kątów pokoju oceniałyśmy kolejne etapy naszych poczynań, aż uznałyśmy dzieło za ukończone. A potem, wieczorem śmiałyśmy się z naszych poważnych uwag typu: „Wydaje mi się, że gdyby powiesić te cieniutkie trawki w tym miejscu, to uzyskaloby się taką lekkość w ogólnym wrażeniu”.

Całość była naprawdę udana, wszyscy domownicy nas chwaliли. Nawet Babci się spodobało, chociaż najpierw, kiedy znosiłyśmy różną florę, była zdania, że „wieszać badyłki bez przeznaczenia – sensu w tym nijakiego ni ma”. Zyskałyśmy sobie jej przychylność prośbą o wyjaśnienie, co jest co, bo była znaną w okolicy zielarką. Najpierw się krygowała, ale w końcu tak się rozgadała, że nie byłyśmy w stanie zapamiętać chociażby połowy nazw roślin i ich przeznaczenia.

Odpoczęłyśmy chwilę po tym intelektualnym wysiłku i zdecydowałyśmy, że nadszedł czas na czyszczenie Baszy.

Przy użyciu podstępu założyłam Baszy kantar, który znalazłam

w jej boksie w słomie (potrafiła uwolnić się z każdego kantara) i uwiązałam ją do żłobu. Początkowo była tylko zdziwiona. Zaczęłam delikatnie głaskać jej szyję szczotką i wtedy wpadła w złość. Próbowwała dosięgnąć mnie zębami, więc skróciłam uwiąz. Patrycja cały czas uspokajała klacz, trzymając ją mocno za kantar. Kiedy szczotka znalazła się mniej więcej na wysokości ósmego żebra klaczy, poszły w ruch tylne kopyta. Oliwia cały czas gapiła się na to przedstawienie i cichym rżeniem dopingowała dzielną mamę. Czyszczenie okolic słabizny<sup>10</sup> spotęgowało kopniaki w ścianę. Aż tynk leciał. Zaczęłam jeszcze raz od szyi. I teraz już Basza nie wytrzymała: wyrwała się Patrycji i ugryzła mnie boleśnie w plecy. Natychmiast odwróciłam się i walnęłam ją pięścią w pysk; chciała mi oddać, atakując przednim kopytem, ale odskoczyłam. Gdy obie uspokoiłyśmy się, wróciłam ponownie do czyszczenia. Basza patrzyła na mnie już mniej wyzywająco, obwąchała mnie z respektem. Dałam jej rumianku – przepadała za nim – głaskałam, przemawiałam serdecznie. Symbolicznie przeciągnęłam jeszcze szczotką jej grzbiet, wycesałam grzywę, pochwaliłam. Na dzisiaj miała dość przeżyć.

Było już około dziewiętnastej, kiedy pani Ala zawołała nas do budowy wybiegu dla koni. Wcześniej trudno byłoby wytrzymać pracę na słońcu. Po drugiej stronie drogi był sad i tam właśnie gospodarze przeznaczyci teren na padok. Miejsce to widziałyśmy z okien naszego pokoju na poddaszu. Czyli było to bardzo wygodne dla wszystkich rozwiązanie, bo można było pilnować koni, nie ruszając się z domu.

Pionowe paliki były obciosane w szpic i pan Paweł wbijał je w miękką ziemię wielkim młotem. Poziome belki przybijałyśmy my, kobiety. Po trzech godzinach była gotowa prawie połowa ogrodzenia. Najpierw Patrycji i mnie padok wydawał się mały, dopóki pot nie zaczął nam spływać po plecach. Najgorszą robotą było ko-

---

<sup>10</sup>Słabizna: słabo umięśniona, wrażliwa na uderzenia część ciała niektórych zwierząt, pomiędzy miednicą a żebrami.

rowanie<sup>11</sup>, tym bardziej, że dopiero po godzinie zdołałyśmy gospodarzom wyperswadować, że to robota zbyt ciężka w tym przypadku.

Po nakarmieniu koni poszłyśmy na górę poczytać trochę. Po pewnym czasie Patrycja poszła zajrzeć do stajni i zaraz przybiegła z rozpaczliwym wołaniem:

– Chodźcie prędko, Baśka umiera, o Boże, leży na plecach i stęka, prędko!

Zerwałyśmy się (pana Pawła nie było) i ruszyłyśmy pędem do stajni. Rzeczywiście, Basza leżała na grzbiecie, opierając podgięte kończyny o ścianę. Na pierwszy rzut oka widać było, że się po prostu zaklinowała. Jej zwyczajem, zamiast być wystraszona, stękała ze złości oraz wysiłku i błyskała oczyma, wściekła z powodu upokarzającej sytuacji. Złapałam ją za przednią nogę i chciałam jej pomóc odwrócić się: siekła zębami na prawo i lewo. Oliwia patrzyła ciekawie, co też z tego wszystkiego wyniknie?...

– Magda, zostaw ją, ja skoczę po Tomalę – pani Ala ruszyła w kierunku sąsiedniego domu.

Pan Tomala zrobił to samo co ja, ale z większą siłą i bardziej zdecydowanie. Basza poderwała się na nogi i otrząsnęła się nerwowo. Była wciąż oszołomiona: musiała długo leżeć w tej niewygodnej pozycji. Wrzuciłam jej siana, żeby miała czym zająć myśli, i wróciłyśmy do domu, obracając całą sprawę w żart. Gdy byłyśmy już u siebie na poddaszu, podsumowałyśmy ten dzień. Patrycja nawet dzisiaj w siodle nie siedziała, lecz za to musiała opielić pole marchwi i teraz ma problemy z wyprostowaniem pleców. Ja, owszem, jeździłam, zaliczając spektakularny upadek. Basza mnie ugryzła. Niczego nie zapamiętałyśmy z wykładu o ziołolecznictwie. I zbudowałyśmy pół wybiegu dla koni, z których jeden „omal nie umarł”.

Następnego dnia rano przyjechał pan Dagmarski i wziął Dagmara na przejażdżkę. My tymczasem zajmowałyśmy się ogrodzeniem wybiegu. Po ponad czterech godzinach Babcia zaczęła krakać na temat niebezpieczeństw czyhających na takiego jeźdźcę na koniu i nie mogła się doczekać ich powrotu. Dopiero późnym popołu-

---

<sup>11</sup>Korować: usuwać korę z powierzchni drewna okrągłego, ręcznie lub mechanicznie

dniem pan Dagmarski przyjechał na zmęczonym dereszku. Nie było mowy o tym, żeby wieczorem Patrycja jeszcze dzisiaj go dosiadła (o co była trochę zła).

Ja natomiast po kolejnej lekcji czyszczenia Baszy, tym razem przed stajnią, osiodlałam ją i pojechałam na godzinną przejażdżkę. Było także kilkadziesiąt metrów galopu. Proponowałam nadąsanej Patrycji Baszę, ale wręcz nie chciała o tym słyszeć.

O rozcieraniu kobyły słomą nie miałam co marzyć, to pooprowadzałam ją, aż trochę wyschła, po czym oddałam zaniepokojonej Oliwii.

Wieczorem pan Dagmarski wyjechał na dobre i zostałyśmy same.

\* \* \*

Wtorek i środę spędziłyśmy wykańczając wybieg, jeżdżąc konno i poznając sąsiadów. Napisałyśmy do znajomych po kilka listów, które pani Ala wysłała, bo jechała do miasta, odległego o jakieś dwadzieścia kilometrów, na poważniejsze zakupy. I skrzynka pocztowa, i sklepy znalazłyby się bliżej, ale trzeba było nabyć jakąś część, która zepsuła się w ciągniku, a to już wymagało wybrania się do większej aglomeracji niż Modrolasek. Ciocia Patrycji, jako osoba energiczna i stanowcza, przy niezaradnym życiowo mężu zajmowała się zarówno sprawami kobiecymi, jak i męskimi. Nieszczególnie mogła liczyć na to, że mąż w porę pomyśli o zwózce drzewa na zimę, o zamówieniu słomy na podściółkę dla zwierząt czy chociażby o naprawie czegokolwiek w gospodarstwie. Sama często dzierżyła młotek czy łopatę.

Zrobiłyśmy Dagmarowi okienko, wycinając kilka desek w drzwiach jego boksu. (Oczywiście tylko pani Ala była w stanie nam wskazać, gdzie są odpowiednie do tego narzędzia). Jeśli wystawił głowę, widział drogę i rżał, gdy mijała nasz dom jakaś furmanka. Na to hasło biegłyśmy z Patrycją do okien, żeby zobaczyć konia. Kiedyś bardzo się uśmiełyśmy, bowiem Dagmar usłyszał stukot, podniósł alarm, my pędem do okna, a tu biegnie kowalowa żona ubrana w buty na obcasach!

Między innymi zauważyliśmy grubą, siwą<sup>12</sup> klacz, ale nie wiedzieliśmy, do kogo należy.

– Aa, to Andrzeja Kuncerki. Lepiej tam nie chodzić, co bedzieta ludziom głowę zawracać! – ostrzegali gospodarze.

Mimo to wieczorem odwiedziłyśmy sąsiadów. Mieszkali kilka kroków od nas i okazali się naprawdę miłymi ludźmi. Ucieszyli się z odwiedzin. Nie zdążyliśmy poprosić, a już zaprowadzili nas do stajni. Stali w progu i patrzyli na nasze twarze: czy wyrazimy uznanie dla ich konia? I jeszcze padło pytanie: „Czego dopiero teraz zaszły? Trza było zara przychodzić”. To zupełnie nas przekonało do rodziny Kuncerków.

W niewielkim boksie stała luzem niska, gruba i bardzo kochana klacz. Miała kilkanaście lat i była wyjątkowo łagodna. Słodka pieczoszka o matczynym spojrzeniu powitała nas gościnnie: wyraźnie ucieszyła się na nasz widok.

Naturalnie, jakże inaczej mogłaby się nazywać, jak nie Baśka? Mówiliśmy na nią, dla odróżnienia od setki innych Basiak: Siwa Baśka. Otóż Siwa Baśka była niesamowicie brudna, a skołtuniona grzywa sięgała jej aż do łokci! Bardzo zakłopotaliśmy Kuncerków pytaniem, czy możemy ją wyczyścić. Nie rozumieli wprawdzie, po co tak cyrkować „z gadziną”, ale się zgodzili.

Po kilku minutach wróciliśmy z naszym sprzętem. Samo czesanie grzywy i ogona zajęło nam mnóstwo czasu. Sople martwych włosów nazywane są tu „zmory”, bo ponoć to właśnie zmory „zapłatają” (raczej zaplątują) grzywy. Dzieje się to tylko w nocy.

– O, pani Kuncerkowa, u nas to się inaczej na takie zmory mówi!

– Tak? A jak?

– Zanedbanie – rozczochranie!

Na szczęście nikt się nie obraził za tę naszą nietaktowną szczerość i zostało to skwitowane śmiechem. Wkrótce na trawie kłębiły

---

<sup>12</sup>Siwa maść konia: okrywą włosową tworzy mieszanina włosów białych z ciemnymi. Zabarwienie kończyn jest ciemniejsze, skóra czarna. Konie rodzą się ciemne, a jaśnieją z upływem lat, nierzadko wtedy wyglądają na białe, zdradza je jednak czarna skóra, (widać to szczególnie na pysku). Oprócz maści siwej spotyka się, bardzo rzadko, maść białą u koni, które przyszły na świat już białe.